

Za najgroźniejszych rywali w tej grupie uznaliśmy Anglików. Przed rokiem w Belgii nieco zawiedli, odpadli już w eliminacjach, ale głównie dlatego, że w ich szeregach było sporo chłopców o rok młodszych. W tej kategorii wiekowej to dużo. Przygotowywano ich do następnego występu właśnie w Polsce. My albo Anglicy! Innego rozwiązania nie przewidywaliśmy. Trzon zespołu angielskiego poznałem już w Belgii.

– Śledź ich dalej! – postanowiono w Wydziale Szkolenia.

Nawiązałem więc ścisły kontakt z byłym bramkarzem Wisły Kraków Stanisławem Gerulą, żołnierzem II wojny światowej, uczestnikiem bitwy pod Monte Cassino, teraz na stałe mieszkającym w Londynie. Był kopalnią wiedzy o młodych Anglikach. Informacje uzyskiwane drogą telefoniczną i listowną jednak nie wystarczały. Trzeba tych Anglików zobaczyć na własne oczy i sfilmować! Staś Gerula zawiadomił, że właśnie wybierają się do Paryża na towarzyski mecz z juniorami z Francji. Ktoś z nas musi tam pojechać i zabrać ze sobą operatora z CO-S-u. Kto? Trenerzy zajęci przygotowaniem zespołu. Więc kto? Padło na mnie. Jakimś cudem o moim pobycie we Francji dowiedział się grający tam teraz Roman Jakóbczak z Lecha Poznań. Zaprosił na wędrowną nie tylko po „paryskim bruku”. Piliśmy dobre francuskie wino.

BALANGA JUNIORÓW NA TURNIEJU UEFA

Nasz zespół w czasie turnieju zakwaterowano w hotelu przy Stadionie Śląskim. Tam właśnie głowiłem się ze szkoleniowcami jak pokonać młodych Wyspiarzy, bo Turków i Hiszpanów – jak zapewniał Bednarczyk – „wciągniemy nosem”. Pierwszy mecz na obiekcie AKS Chorzów, pamiętającym czasy, kiedy klub – pupil huty „Kościeszko” był w I lidze, gramy właśnie z Hiszpanią. Atmosfera dużego święta, mnóstwo kibiców, ale czujemy się dziwnie nieswo-

jo. Na Śląsku w podobnych sytuacjach z głośników z reguły witały gości „Karolinka” i „Szła dziewczeczka do laseczka”. Teraz na AKS-ie rozbrzmiewają tylko hiszpańskie rytmy.

– Kto to wymyślił?! – pytam zdesperowany. – Gramy w Madrycie czy w Chorzowie? Hiszpanie się cieszą, a nasi chłopcy są jacyś pogubieni. Może być kiepsko...

Wykrakałem, Hiszpania wygrała 2:1. Grobowa cisza, tylko Marianek ryczy jak zraniony dzik. Splendor wymyka mu się z rąk. Teraz mecz z Anglią. Jeśli znowu przegramy lub zremisujemy, żegnaj medalu! Chłopcy do domu, a Bednarczyk niech przygotowuje prośbę o dymisję. Zientara uratował jednak stołki wielu działaczom, a zawodnikom ułatwił dalsze kariery. Do meczu z Anglią Polacy przystąpili mocno skoncentrowani i z ogromną wolą zwycięstwa. Atuty rywala znali. Ale czy to wystarczy? Samemu trzeba mieć jeszcze taki dobry dzień, jak Jan Tomaszewski przed pięcioma laty na Wembley. Udało się, Anglia na kolanach. Jak najbardziej zasłużone 2:0! Potem było jeszcze trochę kłopotu w ostatnim meczu z Turcją, ale wszystko dobrze się skończyło. Teraz półfinał z ZSRR...

Sąsiedzi ze Wschodu mieli dobrą drużynę, brylował w niej napastnik Wiktor Taran, którego dużą klasę poznałem już przed rokiem w Brukseli. Był to jednak zespół do pokonania. Dlaczego więc wygrał 2:0? Ułatwiły mu to „grzechy młodości” naszych nieopierzonych reprezentantów. Awans do półfinału zakończyli huczną libacją we własnym zaufanym gronie. Młodość musi się wyszumieć, ale w odpowiednim miejscu i czasie. Balanga na Stadionie Śląskim była bardzo złym pomysłem. Trener Zientara zaskoczony, tylko Marian Bednarczyk wyniuchał ten „konspiracyjny bankiet”, ale zachował to w tajemnicy. Balował też Andrzej Iwan, pewniak Gmocha na Mundial w Argentynie. Prezes PZPN Edward Sznajderr i wiceprezes Henryk Loska mieli niezły orzech do zgryzienia. Powiadomić selektonera czy nie?

Gmoch nie zwracał sobie głowy takimi detalami. Iwan poleciał do Buenos Aires. Juniorom uciekł jednak finał sprzed nosa. Trener Zientara, nieświadomy nocnych wyczynów niedojrzałej młodzieży, kilka godzin po tej libacji, dał chłopcom mocno w kość. Niektórym ciemno robiło się w oczach...

– Mam żal do kierownictwa PZPN – powiedział Zientara – że ukryto przede mną to wydarzenie. Wyszedłem na głupka i przegranego... Traktowałem chłopców poważnie, nie przypuszczałem, że mają aż tak zielono w głowach... W meczu z „ruskimi” byli ociężali, dreptali po boisku. Nie mieli tej werwy, świeżości i ochoty do gry, jak w meczach z Anglią i Turcją. Nieświadomy dobiłem ich na treningu. Odżyli dopiero w meczu o trzecie miejsce, podjęli walkę i pokonali Szkotów 3:1.

Główny sztab XXXI Turnieju UEFA mieścił się w krakowskim Novotelu. Wikt i opierunek na miarę polskiej gościnności i sarmackich tradycji: „**Zastaw się, a pokaż się!**”. Było wszystko: wykwintne jadło i picie, wygodne spanie, przyjęcia dla VIP-ów, wycieczki i... prezenty. Z niedowierzaniem, ale i zadowoleniem kręcił głową twórca tych turniejów Anglik, sir Stanley Rous. Podobały mu się zwłaszcza nasze kryształły. W Nowym Sączu na życzenie gości nawet w niedzielę za twardą walutę w Pewex-ie sprzedawano przepiękne wazonny. Najwięcej radości sprawił żonie szef komisji sędziowskiej UEFA, Austriak Friedrich Seipelt. Koneser kryształów, wykupił prawie wszystkie. Wina chętnie degustował Renato Orlando z sekretariatu generalnego UEFA, a Kosta Popovic z Jugosławii (ten to lubił się zabawić!) pytał, kiedy zorganizuję przyjęcie dla dziennikarzy zagranicznych.

Kłopotliwe pytanie. Żurnalistów zjechało do Polski nadspodziewanie dużo, znacznie więcej niż wydaliśmy akredytacji. Reprezentowali wszystkie znane redakcje ówczesnego obozu socjalistycznego, ale nie brak też było dziennikarzy piszących i mówiących z: Anglii, Belgii, Hiszpanii, Holandii, RFN, Norwegii, Por-

tugalii, Szkocji, Turcji i Włoch. Najliczniej swoje agencje i pisma sportowe oraz radio i telewizję reprezentowali Niemcy z NRD i RFN oraz Włosi. „La Gazzetta dello Sport” i „Corriere dello Sport” wysłały do Polski po kilku przedstawicieli. Organ bułgarskiej fizykultury, „Naroden Sport” z Sofii tradycyjnie już firmował Dymitr Popdymitrow, ten sam, z którym w roku 1959 na stadionie Spartaka Płowdiw grałem w jednej drużynie dziennikarzy Europy przeciwko trenerom. Przypominam, był tam remis 3:3.

Przeżywałem istne męki Tantala, zaczęła boleć głowa. Co, kiedy i jak mam odpowiedzieć na zobowiązujące pytanie Kosty Popocicia. Ugościć dziennikarzy?... W wąskim gronie „rozmowy przy koniaku” organizowaliśmy praktycznie co wieczór, a gdy Alek Jarguz, wtedy nasz sztandarowy sędzia piłkarski, rzucił na stół świeżutkie węgorki z jezior mazurskich, pojawiła się również „Wyborowa”. Ale skąd wziąć pieczywko, masełko, jakąś sałatkę, jajeczko z szynką i coś mocniejszego do picia dla pięćdziesięciu „ochlapusów” z całej Europy? I gdzie to zorganizować?!...

W tym czasie, a była to połowa maja, w Krakowie odbywały się tradycyjne studenckie Juwenalia. Jak zawsze bawiono się nie tylko wesoło, dowcipnie, ale i... dość prowokacyjnie. U żaków główka pracuje! Tym razem jednak, opowiedział to w dobranym towarzystwie ówczesny prezes Wisły Kraków, pułkownik Zbigniew Jabłoński, najsprytniej swoją obecność na Juwenaliach zaznaczył rodzimy Fred Astaire czyli Andrzej Rosiewicz. Paradował po krakowskich plantach z barwnym napisem na plecach „NIE LUBIĘ RUSKICH”. Służby porządkowe, no i oczywiście milicjanci odczytali to, jako „swoistą sympatię dla wielkiego brata”.

– Prosimy to natychmiast usunąć!...

– Dlaczego? – zdziwił się Rosiewicz.

I zrobiwszy zgrabny obrót wokół swojej osi, ukazał na piersiach jeszcze jedno słowo „PIEROGÓW”. Po czym chłodno oznajmił:

– Mam chyba prawo „nie lubić ruskich pierogów”...

Prezes Jabłoński, kilka lat później również prezes PZPN, wówczas komendant wojewódzki milicji, był w dobrym humorze. Akurat wtedy jego ukochana Wisłka sięgała po tytuł mistrza Polski. Niektórzy zawodnicy na długo przed oficjalnym bankietem już oblewali ten sukces w „Novotelu”. A kibice gotowi byli nosić trenera Oresta Lenczyka na rękach. Toż po upływie ćwierćwiecza przywrócił Wiśle prymat w polskiej lidze. W „Piłce Nożnej” podkreśliśmy to w publikacji: – „**Tacy młodzi, a już pany!**”. Na arenie międzynarodowej Wisła nie zawiodła. Jako jedyna z polskich klubów awansowała w roku 1978 do ćwierćfinałowych rozgrywek organizowanych przez UEFA. W „Novotelu” kułem żelazo, póki gorące:

– A może by tak panie prezesie – zagadnąłem nieśmiało Zbigniewa Jabłońskiego – zapoznać z historią Wisły, jej dorobkiem i dniem dzisiejszym dziennikarzy obsługujących turniej UEFA? Chętnie zwiedzą najlepszy klub piłkarski w Polsce. Kawka, woda mineralna, paluszki, może nawet mały koniaczek przy okazji... To byłaby dobra reklama mistrza Polski! Niech coś więcej wie o tym klubie piłkarska Europa!...

– Kiedy chce pan, redaktorze zorganizować to spotkanie? – zachęcająco zapytał prezes Wisły. – Muszę o tym powiadomić sekretariat klubu.

Stało się to zaraz po zakończeniu eliminacji w grupach. Do Krakowa, do motelu „Krak” i hotelu „Cracovia” zjechali dziennikarze z Częstochowy, Katowic, Bielska-Białej i Nowego Sącza. Zaproszenie na spotkanie z Wisłą przyjęli z ochotą. Zorganizowałem transport i cała „pięćdziesiątka” wylądowała przy ulicy Reymonta. Zwiedzanie obiektu trwało krótko, natomiast znacznie dłuższe były rozmowy o klubie i jego historii. Niedawno, podobnie jak Cracovia, uroczyście obchodził swoje siedemdziesięciolecie. Wydano wspólną monografię, wszak to rówieśnicy. Jest co poczytać. Byłem tam bodajże przez trzy kolejne dni, w randze jedne-

go z członków honorowych Wisły, w towarzystwie Kazimierza Górskiego, Henryka Loski i Stefana Grzegorzcyka. Było godnie i bogato, w zgodzie z Cracovią.

Wtedy w drodze powrotnej do Warszawy Stefan usiłował przekonać Henia, że on wiceprezes PZPN, ma w futbolu tylko status amatora, zaś on, Grzegorzcyk i ja Lechowski jesteśmy w tej materii prawdziwymi zawodowcami. Bo profesjonalnie piszemy o piłce nożnej! Z racji wykonywanego zawodu jesteśmy partnerami Górskiego, a z Loską łączą nas głównie więzy koleżeńskie. I tak na okrągło, jak stare baby... Każdy miał trochę w czubie... Jak na te dyrdymały reagował Kazio? Podziwiał małopolski i mazowiecki krajobraz i niemal przez całą drogę śpiewał. Kilka razy powtarzał ulubione tango „Polesia czar” i walczyka „Tylko we Lwowie”... W Radomiu wstąpiliśmy na piwko. Nikt nas nie gonił, zresztą Górski, gdy humor mu dopisywał, zwykł mawiać, że „w domu to ludzie umierają”.

Teraz, po spotkaniu z Wisłą, też nikomu nie było spieszno do domu. Na Reymonta każdy dziennikarz poczuł się jak na wystawnym raucie, kończącym emocje rozgrywek o Puchar Europy. Pomyślałem: – Jakże fałszywe i niesprawiedliwe są opinie o krakusach, że to centusie. Przyjęcie na sto fajerek! Jak za króla Sasa! Tylko jeść, pić i popuszczać pasa... Niektórych obcokrajowców, usiłujących naśladować naszych przodków, trzeba było dyskretnie wyprowadzać na świeże powietrze. Nie przywykli do tak wylewnej polskiej gościnności...

Tymczasem w Warszawie trwały ostatnie przygotowania do Mundialu. Pisano o tym szeroko, znacznie szerzej, niż przed Weltmeisterschaft 74' i to nie tylko w prasie codziennej. Ukazało się też sporo publikacji książkowych. Udział dziennikarzy „Piłki Nożnej” w tej popularyzacji mistrzostw świata i prezentacji drużyny był niewątpliwie największy. Ale i kłopotów nie mało. Red. Mieczysław Szymkowiak na przykład, kreśląc piłkarskie dokonania Jacka Gmocha, spotkał się z jego strony z kontrą, która wstrząsnęła całym naszym środowiskiem. Miecio w dobrej wierze napisał, że Jacek piłkarsko był średnio utalentowany, ale ogromną

pracą osiągnął reprezentacyjny poziom. W duecie ze Stanisławem Oślizłą tworzył parę stoperów trudną do sforsowania. Jacek poczuł się dotknięty taką oceną swojego talentu i... zażądał wyrzucenia tej frazy z publikacji. Znaczna część nakładu poszła na przemiał. Natomiast bez żadnych przeszkód ukazała się na rynku „**Droga do Buenos**” pióra Stefana Grzegorzcyka i „**Mundial’78 – bank informacji**”, praca zbiorowa, w której mój udział był znaczący. Nakład każdej pozycji owszem, owszem – blisko sto tysięcy!

Po występie „biało-czerwonych” w Argentynie jednak nie tak udanym, jak obiecywał Jacek Gmoch, wspólnym wysiłkiem pracowników „Piłki Nożnej” ukazały się dwie dalsze książeczki „**Miliard na widowni**” i pod moją redakcją „**Trzy finały**”. Wydawcą dwóch przedmundialowych publikacji była Krajowa Agencja Wydawnicza, a tych po mistrzostwach Młodzieżowa Agencja Wydawnicza. Tu już nakład był znacznie skromniejszy, zaledwie po dziesięć tysięcy egzemplarzy. Entuzjazm wydawcy osłabił powrót reprezentacji bez medalu oraz coraz wyraźniej dostrzegalny brak papieru i mocy produkcyjnych. „Miliard na widowni” drukowano w Białymstoku, a „Trzy finały” w Koszalinie.

W Argentynie nasz pierwszy i główny rywal Niemcy jest zaliczany do „wielkiej piątki”: Argentyna, Brazylia, Holandia, RFN i Włochy. Nas w tym towarzystwie nie widzą. W piłkarstwie, jak w życiu, wszystko się zmienia. Niczego więc nie należy wykluczać. Nawet o złotym medalu można pomarzyć... Kiedy Jacek Gmoch został trenerem-selekcjonerem, postawiono mu tylko zadanie awansu do puli finałowej Mundialu ’78. Jacek jednak z każdym dniem zaostrzał nasze apetyty, zwłaszcza po dwóch wygranych z Danią. W bramce spokój – nadal przewodzi Jan Tomaszewski, w obronie już znacznie gorzej – wysoką klasę reprezentują tylko stoper Władysław Żmuda i wszechstronny Antoni Szymanowski. W pomocy „pewniakami” są Kazimierz Deyna, Zbigniew Boniek i Henryk Kasperczak, a nadzieją napawają Janusz Kupcewicz, Adam Nawałka i Bohdan Masztaler.

Nie powinno też być kłopotu z napastnikami: Grzegorz Lato jest niezniszczalny, Marek Kusto zaczął wreszcie zdobywać bramki, Andrzej Szarmach – jeśli tylko będzie w pełni sił fizycznych – może sięgnąć po koronę króla strzelców. Technika i pomysłowość, głównie w pierwszej fazie ataku – to Stanisław Terlecki. Bojowość i szybkość połączoną z rutyną reprezentuje Wojciech Tyc z Odry Opole, a młodość i fantazję w parze z dużymi umiejętnościami – młodzieńcy Andrzej Iwan. Wszystko? O nie, jest jeszcze Włodzimierz Lubański! Zdrow i dobrze przygotowany nie potrzebuje żadnej rekomendacji. Klasa światowa! Naszej reprezentacji najbardziej odpowiadać będzie gra w ustawieniu 1+(1+3)+4+2. Czy doprowadzi to nasz zespół do tytułu mistrza świata? Nasza obecna pozycja w Europie do takiego optymizmu nie upoważnia.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że do Argentyny nie pojedzie rekonwalescent Stanisław Terlecki, Włodzimierz Lubański będzie głównie zastępował Bońka, a Andrzej Iwan przestanie być tajną bronią Jacka Gmocha. Wiślak grał w sumie zaledwie 104 minuty. Niepełne mecze rozgrywał także Henryk Kasperczak, w pomocy jako zmiennik Bohdana Masztalera, zaś w obronie – alternatywa dla Gorgonia. Na uznanie Jacka Gmocha w ogóle nie zasłużyli Stanisław Sobczyński i Lesław Ćmikiewicz (mimo że w przededniu odlotu ekipy do Argentyny był w formie lepszej, niż w roku 1974) oraz Zdzisław Kapka i Paweł Janas. Tarzały mną mieszane uczucia, ale Gmoch nie miał żadnych wątpliwości. Ogłosił: do Argentyny jadą najlepsi!

W domu zostało nie tylko kilku niezłych piłkarzy. Gmoch rozbił też swój niedawny sztab. Dotychczasowego kierownika drużyny Macieja Górzyńskiego zastąpił Janusz Dudek, a Ryszarda Kuleszę – wydawało się pewniaka na Argentynę – trener reprezentacji młodzieżowej Waldemar Obrębski. W ostatniej chwili, ratując w ten sposób część układu z poprzednich mistrzostw, do pionu produkcyjnego na argentyński Mundial, jak mawiał o tej grupie prezes Sznajder,

Gmoch włączył Andrzeja Strejlaua. Jacek miał swoje sympatie i antypatie, ale też wyobraźnię, sporo sprytu i zdrowego rozsądku. Awans Strejlaua był dla niego swoistą formą alibi... w razie niepowodzenia. Grupę obserwatorów tworzyli: Ryszard Koncewicz, Bernard Blaut, Hubert Kostka i Jerzy Kopa oraz z zespołu analiz Wojciech Skoczek. Po mistrzostwach pod redakcją „Fajki” ukazał się **„Raport z Mundialu”**. Był znakomity, lepszy, niż gra naszej drużyny.

Polakom i Niemcom, mistrzom świata sprzed czterech lat, przypadł zaszczyt rozegrania na stadionie River Plata w Buenos Aires meczu inauguracyjnego Mundial '78. Rywale wiedzieli o sobie wszystko. Można było z góry przewidzieć, że będą to raczej szachy, a nie piłka nożna. Więcej suchej kalkulacji i zagrań zapożyczonych z komputera, niż polotu i fantazji. Obawa przed stratą bramek już w pierwszym meczu weźmie górę nad chęcią ich zdobywania. Antyfutbol? Tak, choć prezentowany nie przez piłkarskich partaczy lecz potencjalnych kandydatów do medali. Tym gorzej dla prawdziwego futbolu.

Na zer prymitywnej strategii rzucono piękno i zagadkowość piłki nożnej. Dla Gmocha i Schoena praktycznie nie było żadnych tajemnic. Wiedzieli, że Bonhof zaopiekuje się Deyną, Boniek utrudni życie Flohemu, a Nawałka będzie spełniać rolę „panienki do wszystkiego”. Niemcy mieli też nadzieję, że „nie pohasa sobie Lato”. Czy w tej sytuacji mogły paść bramki? Drużyny wystąpiły w nieco innych składach, niż zapowiadali dziennikarze, ale ich kunktatorska taktyka – nasza ustalona w Jockey Clubie w Rosario, a rywala w Ascochinga koło Cordoby – zgodna z oczekiwaniami. Zanim zawodnicy wybiegli w Buenos Aires na boisko trenerzy obu drużyn rozegrali już kilka symulowanych spotkań na magnetowidach. Sepp Maier reagował na te dziwactwa z lekkim przymrużeniem oka: – *Gram sobie na gitarze „El condor pasa”*... (Orzeł odlatuje).

Miał rację, ale i dużo szczęścia. Przy tak wyrafinowanej taktyce i żelaznej dyscyplinie taktycznej bramka mogła paść tylko ze stałego fragmentu gry.

U Niemców dobrze to robił Bonhof, u nas wybornie Kazio Deyna. W kraju jego „rogali” jak ognia bał się nawet Jan Tomaszewski, tu w Argentynie ogromnego pietra miał Maier. „Biało-czerwoni” rzeczywiście byli bliżsi zwycięstwa, ale Sepp utrzymał czyste konto przez 90 minut. Przy strzale Deyny, właśnie z rzutu wolnego, czuwała nad Niemcem opatrność boska. „Kaka” posłał mu „rogala” z zegarmistrzowską precyzją, jednak Maier i ten fantastyczny strzał obronił. Po tym wydarzeniu pocieszył kolegów: – „Gott mit uns!” (Bóg z nami).

W bezbramkowym meczu z RFN główną siłą polskiego zespołu stanowiła pomoc. Deyna jak przed laty był wielkim dyrygentem, a Masztaler i Nawałka wykonali wprost tytaniczną pracę. Od czasu do czasu wspomagał ich Włodzimierz Lubański. Ustawienie 1+4+4+2 gwarantowało naszej drużynie pełne bezpieczeństwo. Po „komputerowym meczu” RFN – Polska następny z Tunezją, tak ocenili to Niemcy, przypominał „zmagania Goliata z Dawidem”. Dawidek z Afryki przegrał 0:1, ale tanio skóry nie sprzedał. Nam przyszło przeżyć niejedną cenę strachu. Nawet zwykle pewny siebie Gmoch zachował się jak człowiek rażony prądem wysokiego napięcia. Cały czas był „elektryczny”... Rozluźnił się dopiero po meczu: – „*Wróciliśmy z dalekiej podróży*”...

Pozostało do rozegrania spotkanie z Meksykiem. Ciekaw byłem, jak zagra Victor Rangel, którego nie tak dawno przyrównywałem do naszego Władka Dąbrowskiego, a Tomasz Wołek do słynnego Borji. Każdy z nas nieco przesadził, ale akurat w tym meczu Rangel zagrał dość skutecznie. Przy stanie 1:0 dla Polski wyrównał na 1:1. Finisz był jednak nasz – dwie kolejne bramki zdobyli Boniek i Deyna. Który lepszy? Obaj zebrali najwięcej oklasków. Piłkarze całą gębą. Dla statystyków kąsek wyjątkowo smakowity. Otóż Zbyszek strzelił w tym spotkaniu swoje dwie pierwsze bramki na mistrzostwach świata, a Kazio – niestety, ostatnią. Narodziny gwiazdy i... powolny zmierzch boga futbolu!

ARGENTYŃSKIE FRUSTRACJE

W meczach z RFN i Tunezją Boniek wyraźnie pozostawał w cieniu Deyny, jednak dwa gole strzelone Meksykowi zaczęły przeważać szalę na jego korzyść. Co będzie po meczu z Argentyną otwierającym drugą fazę turnieju? Gmoch odpowiadał na wszystkie strony! – **Interesuje mnie tylko zwycięstwo!** Wypowiedział wojnę „złemu losowi” i „działaniu sił nadprzyrodzonych”. Nawet wtedy, gdy Mario Kempes zdobył pierwszą bramkę i Argentyna prowadziła 1:0, Jacek wierzył w swoją gwiazdę i umiejętności zawodników. Walczyli z pasją.

– Tylko tak dalej – pokrzykiwał – a szczęście przyjdzie samo.

Nie chciało... Wyraźnie się od nas odwróciło. Najpierw Lato nie strzelił „pewniaka”, bilardziści o takiej sytuacji mówią „nie dobił trupa”, za chwilę Deyna (o zgrozo!) nie wykorzystał rzutu karnego. Mimo zaklęć Gmocha, jednak zmówiły się przeciw nam wszystkie „siły nadprzyrodzone”. A tak pięknie się zaczęło. Tuż przed grą, delegacja PZPN z wiceprezesem Henrykiem Loską i redaktorem Stefanem Grzegorzczakiem, wręczyła uszczęśliwionemu Deynie bukiet pięknych kwiatów. Wszak rozegra dziś setny mecz w reprezentacji! Celnym strzałem z „jedenastki” miał szansę ukoronować swój jubileusz i zapewnić drużynie dobry wynik w meczu z Argentyną.

Nie gustuję w metafizyce, ale po nieudanym strzale Deyny zacząłem przeklinać zły los. Wyraźnie nas prześladowe! Piłkarz, który dotychczas strzelał karne bezbłędnie, na Olimpiadzie w Monachium okpił Rudakowa, w eliminacjach do tych mistrzostw zdobył bramkę bezpośrednio z rzutu różnego, teraz nie wykorzystał „jedenastki”. To się w głowie nie mieści! Robota szatana, sprzyja Argentynczykom! Przed chwilą Mario Kempes strzelił nam pierwszego gola, zaraz potem wybił piłkę z własnej bramki, a teraz Matildo Ubaldo Fillol obronił rzut karny. Rozpacz! Kempes podwyższył wynik na 2:0... Czy to już koniec? Ja-

cek Gmoch opuszczał stadion w Rosario z podniesioną głową: – „Przegrałem bitwę, ale nie wojnę”. Deyna nie mówił nic. Czy tak przemija sława? Sic transit gloria mundi...

Teraz mecz z Peru. Podróż z Rosario do Mendoza przebiegała w bojowym nastroju: – Tego już przegrać nie wolno! Ten sam kraj, ale jakby nieco inny. Widać góry, bo blisko Andy, surowsze powietrze i inna roślinność. Ekipa zamieszkała w miejscowości Porterillos oddalonej od Mendoza o blisko 50 kilometrów. Tu jeszcze inny krajobraz. Chłodno i wysoko, niemal tak, jak u nas na Kasprowym Wierchu. Dziwna nawierzchnia boiska, przypomina leśne poszycie, mech, a nie zieloną murawę. Jak tu grać? – zastanawiali się Gorgoń i Szarmach. W takiej scenerii niewątpliwie lepiej będą się czuć Peruwiańczycy.

Płonne obawy, z Peru nasi wygrali 1:0, a zwycięską bramkę zdobył właśnie Andrzej Szarmach. W bramce dobrze zaprezentował się Zygmunt Kukła, zaś na pozycję „wymiatacza” z powodzeniem wrócił Jerzy Gorgoń. Zatem jeszcze nie wszystko stracone. Powalczymy z Brazylią o pozycję medalową? Wariantów jest nadal kilka: w wypadku wygranej – walka w finale lub w meczu „pocieszenia” o trzecie miejsce, natomiast przegrana wyrzuca nas poza pierwszą czwórkę. Optymistów było niewielu. Ta diabelna Brazylia! Do tej pory nie przegrała jeszcze żadnego spotkania i straciła zaledwie jedną bramkę w remisowym meczu ze Szwecją! Polacy znowu zagrali z pasją i odważnie aż do granic ryzyka. Remis nic nie dawał, do awansu – potrzebna wygrana! Do przerwy było 1:1. Tuż przed zejściem do szatni wyrównującego gola strzelił Grzegorz Lato. W Monachium jego bramka dała nam srebrny medal. A tu?...

W drugiej odsłonie swoje „pięć minut” miał jednak „złoty młodzieniec” reprezentacji Brazylii – Roberto. Nasi przeważali, rywal kontratakował i wygrał 3:1. Trzecią bramkę poprzedził istny taniec piłki na słupkach i poprzeczce. Strzelali Gil, Mendonca, znowu Gil, wreszcie Roberto huknął pod poprzeczkę. Gdzie

w tym czasie byli nasi obrońcy? Gmoch wciąż żył nadzieją, wzmocnił atak, Kasperczaka zastąpił Lubański. Porywający finisz Polaków. Pomysłowe akcje Deyny, Laty, Bońka, Szarmacha i Nawalki, jednego z większych odkryć tego Mundialu, ożywiły widownię. Gole jednak nie padały. Brazylijczycy już też nauczyli się bronić wyniku. Mur obrońców utytułowanego rywala starał się rozbić... Jerzy Gorgoń. Był nawet bliski szczęścia, ale spudłował. Jemu trudno się dziwić, ale napastnikom?! Strzelali wyłącznie na wiwat... Teraz to już na pewno trzeba wracać do domu.

Strefa medalowa. Z wielkiej czwórki europejskiej: Holandia, Polska, RFN i Włochy na placu boju pozostały już tylko Włochy i Holandia. Nie ma Polaków, poległ też Niemcy. Manszaft Schoena, mimo że w pierwszej fazie mistrzostw nie stracił ani jednej bramki, w drugiej przekonał się, że poprawna gra wyłącznie w defensywie, to nie jest dobry sposób na sukces w argentyńskim Mundialu. Tu liczą się bramki zdobyte, a nie stracone. W drugiej rundzie Niemcy znowu dwa razy zremisowali i... przegrali z zaprzyjaźnioną Austrią. O medale walczyły: Argentyna z Holandią o złoto i Brazylia z Włochami o trzecie miejsce. A więc canarinhos na tym samym wózku, co w Monachium. Tam przegrali z Polską 0:1, w Buenos Aires pokonali Włochów 2:1.

Dla Brazylii trzecie miejsce, to jednak przegrana. Sami sobie winni. Nadal mają świetnych piłkarzy, ale ze strategią i taktyką wciąż są na bakier. Usiłują naśladować w tej materii Europę, ale robią to nieudolnie. Popadają z jednej skrajności w drugą. W RFN nastawiali się głównie na kawaleryjskie szarże i to ich zgubiło, w Argentynie dla odmiany znacznie lepiej prezentowali się w obronie, niż w ataku. Znowu źle pomyśleli. W futbolu, zwłaszcza na tak wysokim szczeblu, trzeba umieć jedno i drugie, zachować równowagę między obroną i atakiem. Najlepiej radzili sobie z tym gospodarze i konsekwentnie zmierzali do tytułu mistrza świata. Wprawdzie finał z Holandią (3:1) wygrali dopiero po do-

grywce, ale nikt nie miał wątpliwości, że mistrzostwo wywalczyła drużyna najlepsza. Argentina campeón!

Było w tym zespole wiele doskonałości: Fillol, Passarella, Gallego, Luque, Bertoni, ale nad tą plejadę gwiazd wyraźnie górowali Mario Kempes i Cesar Luis Menotti. Pierwszy był królem strzelców tych mistrzostw, a drugi bezwzględnie najwybitniejszym trenerem. Argentyna zawsze miała piłkarzy światowego formatu. W latach trzydziestych bożyszczem był tam Guillermo Stabile, piłkarz elegancki, gentelman na boisku i w życiu prywatnym, ulubieniec seniorit, król strzelców I Mistrzostw Świata w 1930 roku. Nazywano go „El Filtrador”, bo umiał się przebić przez każdą obronę. Świetny był też Luis Artime.

Po nim przyszła właśnie era Kempesa. To z urodzenia romantyk, ale z postawy na boisku twardy pragmatyk. Grał już przeciw Polsce w 1974 w Stuttgarcie, ale dopiero u siebie w domu, w Rosario strzelił Tomaszewskiemu dwie bramki. Zanim pojawił się „boski Maradona”, Mario Kempes był dla swoich rodaków „El Matador”. Pięknie strzelał gole głową. Przed nim w historii światowego futbolu równie dobrze robił to tylko legendarny Węgier Sandor Kocsis z „cudownej jedenastki” Gustava Sebesa. Mario strzelił także dwie bramki w finałowym meczu z Holandią. To dało mu tytuł króla strzelców. Był też na Mundialu w Hiszpanii, ale tam poniżej oczekiwań zagrała cała jego drużyna.

A Menotti? W młodości był partnerem Pelego w FC Santos. Już to go nobilituje. Inteligentny, pomysłowy i... oryginalny w spojrzeniu na futbol, jako zawodnik i trener. Był jeszcze młodszy niż nasz Gmoch, gdy powierzono mu funkcję selekcjonera. Też cieszył się uznaniem na szczytach władzy. Chętnie otwierano przed nim drzwi do gabinetów największych dygnitarzy. Zadziwiał nowatorstwem i skutecznością w pracy z drużyną narodową. Przekonał kluby, że priorytet musi mieć reprezentacja. Wstrzymał tuż przed Mundialem transfery zagranicz-

ne, pracował systematycznie i konsekwentnie według ściśle założonego planu. Potrafił utrzymać dyscyplinę w przygotowaniach kadry i w grze na boisku. Jacek Gmoch, gdy się zastanawiał: – Jakim jestem trenerem? – po dokonaniach Menottiego mógłby chyba powiedzieć, że wzorem dla niego nie był Walter Winterbottom, lecz właśnie selekcjoner Argentyny. Ale dobre wzory i tylko dobre chęci, to za mało, by zyskać sławę. Podczas, gdy po zdobyciu przez Argentynę mistrzostwa świata Menottiego okrzyczano geniuszem, w jednym z PRL-owskich pism centralnych pozycję Gmocha w naszym futbolu porównywano z karierą Nikodema Dyzmy. Cios poniżej pasa...

Jacek zapewne nawet tego nie czytał, tak – jak i moich komentarzy o wydarzeniach na Mundialu. W Argentynie naszą redakcję reprezentował Stefan Grzegorzczak, przekazywał stamtąd głównie interesujące reportaże i sekrety z codziennego życia naszej ekipy. Sportowej harmonii tam nie było. Na miejscu, w Warszawie korzystaliśmy z przekazu telewizyjnego i na tej podstawie wyrażaliśmy swoje zdanie o sposobie gry innych drużyn oraz aktualnym układzie sił w światowym piłkarstwie. Nas w czołówce już nie było. To poniżej oczekiwań. Taki był ton głównie moich komentarzy. Nasi specje od „propagandy sukcesu” widzieli to inaczej. Usiłowali przekonać opinię publiczną, że miejsce uzyskane przez naszą reprezentację w Argentynie jest właśnie sukcesem. To oczywiście kłóciło się z komentarzami zamieszczonymi w „Piłce Nożnej” zwłaszcza po meczach z Argentyną i Brazylią.

Odpowiadałem wówczas bezpośrednio nie tylko za treść własnych tekstów lecz także wszystkich innych zamieszczonych na łamach tygodnika. Cały czas były krytyczne, ale do momentu przegranej z Brazylią z zewnątrz nikt nie ingerował. Dopiero teraz nasze opinie nie spodobały się cenzurze. Były za chłodne i zbyt ostre, za mało w nich optymizmu. Wezwano mnie na Mysią. Kazano złagodzić wymowę końcowego komentarza, mocno odbiegającego od reguł ów-

czesnej propagandy i napisać w zamian kilka ciepłych słów o dużym „sukcesie naszej reprezentacji”. Odmówiłem. Kilka najbardziej krytycznych uwag cenzor sam wykastrował. Zrobił się na kolumnie luz, było dużo światła, mało prawdy. Interlinie i spacje zapełniły puste miejsca. Nie dotarła więc do Czytelników oficjalnie lansowana informacja, że „5-8 lokata uzyskana w Buenos Aires ma nie mniejszą wartość, niż trzecia przywieziona w roku 1974 z RFN.”

Pisałem ten ostatni pomundialowy komentarz „na gorąco” i tak jak poprzednie w ostatniej chwili wysłałem do drukarni. To się źle skończyło. Ale na tzw. „wewnętrznych kolumnach”, zredagowanych znacznie wcześniej, ukazały się jeszcze dwa inne, równie krytyczne artykuły. Tego już w zasadzie zmienić nie było można. Taki był cykl produkcji pisma. Chyba, że cały nakład skazano by na przemiał... Do tego nie doszło, ale mnie usiłowano dobrać się do skóry. Zawezwano mnie teraz do „białego domu”, do biura prasy KC. Karny raport na partyjnym dywaniku. Czy zdołam wyjść z tego obronną ręką? Jeśli nie dopisze mi szczęście, niechybnie powędruję na zieloną trawkę. Kto wygra? Ja czy oni? Dość zręcznymi unikami przechytryłem przeciwnika. Nie jestem na aucie...

Jednak w nie najlepszym nastroju wróciłem do domu. Kazano mi bowiem czekać na kolejny telefon. A więc to jeszcze nie koniec tego niezwykłego starcia. Do bezwzględnej i długiej dyskwalifikacji nie doszło. Nawet w „białym domu” ten i ów potrafił zachować zdrowy rozsądek. Dziś z tej opowieści można by się pośmiać, wszak w wolnym kraju cenzury i biura prasy już nie ma, poza tym dziennikarza broni prawo prasowe. Ale wtedy nie było mi do śmiechu, bo i bronić nie miał kto. Jednak się udało... Warto jeszcze wspomnieć, za jakie to przewinienie groził mi spadek z dziennikarskiej ligi. Oto niektóre moje grzechy:



Znam dobrze naszych reprezentantów. Uważam, że... stać ich było na więcej.

Ten zespół już coś umiał. Trzeba było tylko to doskonalić. Albo szukać innych rozwiązań. Tymczasem nie zrobiono ani jednego, ani drugiego.

Po prostu nasza drużyna została przestawiona na inną, nie odpowiadającą jej grę.

Brak było szybkości, dynamiki, umiejętności przyspieszenia, zmian rytmu.

Moim zdaniem, błędem było trzymanie na ławce Lubańskiego i wpuszczenie go na kilka minut, gdy aż prosiło się wzmocnienie ofensywy.

Na koniec tej przykrej kwestii pytanie za 100 punktów: – Kto to wszystko powiedział? – Fachowiec niekwestionowany, wtedy Zasłużony Trener PRL, a teraz Trener Stulecia, Kazimierz Górski. Do dziś na wspomnienie tamtych dni dwuznacznie się uśmiecha. Pogodny nastrój z czasów „ery Górskiego” prysł jak bańka mydlana. Przed Mundialem, w czasie mistrzostw świata, a także po powrocie ekipy z Argentyny, atmosfera w naszej reprezentacji jak i wokół niej, oględnie mówiąc, pozostawiała wiele do życzenia. Reakcja typowa dla frustratów. Jacek i jego ludzie z sekcji reprezentacji obiecywali marsz na sam szczyt Andów, tymczasem nie zdołali się wznieść ponad argentyńską równinę. Niezrealizowany cel zrodził agresję. Niby to takie ludzkie i nasze, polskie. Zręcznie wszystko tłumaczyli kręcący się wokół Gmocha psychologowie, choć on uważał, że sam jest w tej specjalności najlepszy. Opinię społeczną drażniły jednak echa sporów dochodzące zza Atlantyku.

W Argentynie kłócono się o byle co, o każdy drobiazg, niemal każdy mundialowiec miał jakieś muchy w nosie. Zawodnikom nie odpowiadała jakość sprzę-

tu, a działacze wytykali Jackowi błędy w ocenie aktualnej formy zawodników i niewłaściwą obsadę niektórych pozycji w zespole. A wszyscy razem targowali się o wysokość i terminowość wypłacania premii. Ten spór ciągnął się jeszcze po Mundialu, zawodnicy całe miesiące dochodzili swoich racji finansowych. W przypiływie złości posądzono Jacka o celową zwłokę w rozwiązywaniu tej palącej kwestii.

Gmoch – to niewątpliwie twardziel, bestia niezwykle ambitna i konsekwentna. Chciałby jeszcze coś więcej osiągnąć z reprezentacją, także w eliminacjach do mistrzostw Europy, ale i jemu z powodu nadmiaru kłopotów powoli zaczęły opadać ręce. Stał na rozdrożu: – Nadal pchać ten niewdzięczny wózek czy poświęcić się pracy naukowej? Poprowadził drużynę narodową jeszcze w dwóch wygranych meczach, towarzyskim z Finlandią w Helsinkach i o punkty w mistrzostwach Europy z Islandią w Reykjaviku i powiedział „dziękuję”. Wyjechał na stypendium doktoranckie do Norwegii, ale nawet norweskie fiordy nie zdołały go odciąć od miłości największej – piłki nożnej. W Oslo doskonalił także swoją wiedzę futbolową.

Na przełomie sierpnia i września 1978 roku, tradycyjnie już w towarzystwie Jerzego Zmarzlika, wybrałem się na wypoczynek do Kazimierza Dolnego nad Wisłą. Tamtejszy „Dom Prasy” całkowicie zaspokajał moje urlopowe ambicje. Nagle telefon z Warszawy przerwał poobiednią sjęstę. Dzwoniono z PZPN, mam szybko wracać do Warszawy i przygotować się do podróży z reprezentacją na mecz z Islandią w Reykjaviku. Nie jest to wyjazd służbowy z RSW „Prasa”, tylko „nagroda” PZPN za sprawną organizację biura prasowego i pomysłową oprawę strony medialnej XXXI Turnieju UEFA. Wiza zbiorowa, żadnych kłopotów paszportowych nie będzie. Ekipa w komplecie, Jacek w dobrej formie. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że po meczu z Islandią pożegna reprezentację.

Rejs na daleką północ pilotował przyjaciel Górskiego, Gustaw „Gucio” Górecki z COS-u:

– Lecimy najpierw do Kopenhagi – poinformował kierownika ekipy, inżyniera Zbigniewa Należytego – a stamtąd bezpośrednio do Reykjavíku. Przerwa będzie króciutka...

Obiecanki, cacanki... W ekipie nie było Janka Tomaszewskiego, bo znowu miałby doskonałą okazję do puszczenia w ruch swojej ulubionej płyty: – *„I znowu zawiodła organizacja”*... Nie ma dla nas miejsc w samolocie do Kopenhagi... Och, jaka szkoda, że nie sfilmowano wtedy reakcji Gmocha... Szczęka mu się wydłużyła... „Gucio” stanął jednak na głowie i ostatecznie wyekspediował drużynę via Oslo do Reykjavíku. Spóźnienie było spore, nudy na pudy, złości równie dużo, na szczęście nikt się nie upił. Kilka osób, w tym jeden dziennikarz spoza Warszawy, szczerze tego żałowało, bo w Islandii bycie pod rauszem było niemożliwe. Tam nawet piwo jest bezalkoholowe...

Gmoch dostrzegł w tej wyprawie dwóch nieproszonych gości. Towarzyzyli mu – tak przypuszczał – dwaj kandydaci na nowego selekcjonera, Edmund Zientara i Ryszard Kulesza. Będą patrzeć na ręce? Jacek tak to właśnie widział i zareagował w swoim stylu. Na przedmeczowej odprawie, na którą i mnie zaprosił, od strony czysto sportowej powiedział wszystko, co mógł i powinien każdy rozgarnięty selekcjoner. Dorzucił do tego niecodzienny komentarz, co – w dobrej wierze – uznałem za dotychczas niespotykaną formę motywacji.

– Mamy w ekipie kilku „szpiegów” – wypalił z grubej rury. – Po powrocie do kraju zapewne zechcą zdać relację z naszej tu postawy. Będą szukać dziury w całym. Odbierzcie im wszelkie atuty... Nie dajcie żadnej szansy na paskudną krytykę... Wygrajcie! Zróbcie to dla siebie, ale też dla mnie. Bo jest to moje ostatnie z wami spotkanie. Żegnam reprezentację...

Gmoch starał się dowieść, że jest „twórcą sukcesów” i urodzonym przywódcą. Często mu się to udawało. Był mocny fizycznie i psychicznie. Jego zachowanie mówiło samo za siebie: – „Spójrzcie, kto jest waszym trenerem! Człowiek czynu! Odważny, przed nikim nie pęka. Chcę, żebyście i wy tacy byli... Drogę do reprezentacji macie otwartą”. Na treningach Jacek starał się dorównać zawodnikom, włączał się do gry, czasami nawet za pieniądze, był nieustraszony w sytuacjach ekstremalnych. Dla podkreślenia swej „wodzowskiej” roli w zespole gotów był nawet połknąć żabę, zająć surowe ślimaki lub... łeb urwać hydrze.

W Reykjavíku wpadł na wyjątkowo szaleńczy pomysł. Islandia jest krajem pełnym dziwów natury. Daleka północ Europy. Powinno tam być dużo więcej wiecznych śniegów, siarczystych mrozów, białych niedźwiedzi, niż ciepła, słońca i... śródziemnomorskiej roślinności. Tymczasem, pomijając wulkany i gejzery, osobliwość w Europie szczególną, są tam również inne kaprysy natury: gorące jeziora, stawy, nawet sadzawki. A w ich pobliżu oazy dojrzewających cytrusów i bananów. Cała nasza ekipa obejrzała to na własne oczy. Gmoch i w tej niezwykłej scenerii usiłował podkreślić swoją herkulesową moc i odwagę:

– Zaraz się w którymś z tych stawów wykąpię...

Już nie raz podejmował z zawodnikami ryzykowne zakłady, ale ta zapowiedź poruszyła nie tylko hazardzistów.

– Czyżby? – zaśmiał się Zbyszek Boniek.

Za chwilę z przechwałek selekcyjnera zaczęli pokpiwać Stefan Majewski i Antek Szymanowski:

– Chce się trener żywcem usmażyć? Kto jutro poprowadzi nas do zwycięstwa?...

Jacek nie dawał za wygraną:

– Zrobię to, ale najpierw mały zakładzik... Mam tu dwieście zielonych, złóżcie się, to pogadamy...